

KULTURA

UWIKŁANY W ŻYCIE

Alfabet polifoniczny Tomasza Jastruna

Czułość

Ileż ja pisałem o czułości, jeszcze zanim Olga Tokarczuk wplotła czułość w swoją mowę noblowską. W roku 2002 ukazał się w Iskrach mój tomik wierszy pt. „Tylko czułość idzie do nieba”. Uważam czułość za najcenniejsze uczucie, nie miłość, która płonie wysoko, ale szybko się spala. I cienka jest granica między miłością a nienawiścią. Czułość rzadko zmienia się w nienawiść. Można być czułym wobec dzieci, ale też wobec przedmiotów czy zjawisk. Najwięcej jednak czułości ma się wobec swoich dzieci. I to najbardziej czysta forma czułości. Napisałem kilka wierszy o czułości. Ten dał tytuł tomikowi.

Przytul się do mnie
Jesteśmy tacy delikatni
Aż strach
Oczy z niebem i łką
Chroni powieka z bibułki
Nóż wchodzi w brzuch
Łatwiej niż w chleb
A krew
Przy nieostrożnym ruchu kierownicy
Wyfruwa jak spłoszony ptak
Nasza płeć
Meduza wyrzucona na brzeg
Tylko przez chwilę wilgotna
Wszystko w nas
Jest bardziej kwestią czasu
Niż w przypadku cegieł
A nawet kruchego szkła
Kamień posiada nad nami
Druzgocącą przewagę
Więc przytul się do mnie
Tylko czułość idzie do nieba

Depresja

Udręka mojego życia, odziedziczyłem ją po matce, ona po kimś z rodziny, na naszym drzewie genealogicznym tu i tam wiszą jej gorzkie owoce. Ale choroba mojej mamy miała bardziej dramatyczną wersję

niż moja. Cierpiała na chorobę dwubiegunową, czyli depresja przeplatała się z manią, koszmar. W manii mama robiła rzeczy straszne, bo była pewna, że jest bogiem, czasami tragicomiczne, ale mnie nie było do śmiechu. Potem zapadała się w czarną otchłań. Zmiana następowała niemal z dnia na dzień, ze zniszczonej, skulonej w nieszczęściu kobiety zmieniała się nagle w płonący życiem, kolorowy kwiat.

Są ludzie, w których zawsze wyczuwa się nutę smutku, nawet w uśmiechu. Już jako dziecko miałem skłonność do poważnej refleksji; kiedy byłem młody, pytano mnie często, dlaczego jestem taki smutny? I piszę takie mroczne wiersze? Dziwiły mnie te pytania. Własnego smutku, jeśli jest płytki, zwykle się nie czuje. Teraz, kiedy czytam swoją dawną poezję, widzę depresyjną nutę.

Prawdziwa ciężka depresja to obóz zagłady. Bywałem w nim. Ratowałem się, robiąc temat z nieszczęścia.

A prawdziwa ciężka depresja to obóz zagłady. Bywałem w nim. Wołałbym siedzieć w więzieniu o zastrzyżonym rygorze, niż mieć taką depresję. Ratowałem się, robiąc temat z nieszczęścia. Gdy robi się temat z cierpienia, zaczyna ono mieć jakiś sens i ból jest do zniesienia. Napisałem o depresji dwie książki, powieść „Rzeka podziemna”, o człowieku torturowanym przez depresję, i poradnik „Osobisty przewodnik po depresji”. Ta książka może być ważna dla zmagających się z depresją, sporo w niej rad i opisów tej strasznej krainy.

Teraz jestem na lekach, które działają, więc moja „rzeka podziemna” wychyla się na powierzchnię tylko z rzadka i zwykle jedynie na kilka dni.

Ale jestem naznaczony jak blizną, wielką ciemną smugą. I jest lęk, by nie przekazać tego dzieciom.

Felieton

Stałem się felietonistą dzięki stanowi wojennemu, bez niego mógłbym nigdy nie odkryć, że mam do tego predyspozycje.

Na początku stanu wojennego w swoim podziemnym „Wezwaniu” zacząłem pisać „Dziennik zewnętrzny” jako Witold Chałcamp. Byłem wtedy autorem popularnych wierszy politycznych, emocjonalna reakcja na stan wojenny, wydanych w zbiorze „Na skrzyżowaniu Azji i Europy”. To była bodaj pierwsza książka opublikowana w stanie wojennym w odrodzonym wydawnictwie NOWA. „Dziennik zewnętrzny” miał być świadectwem czasu, a też prozatorską odpowiedzią na stan

wojenny. Wiersze były dramatyczne i tragiczne, tekst miał być relacją ironiczną. Absurdów było wtedy co niemiara, nie mieściły się w poezji. A nie docenialiśmy groteski stanu rzeczy. W „Wezwaniu” wyszedł mnie Jerzy Giedroyc, próbował ustalić, kto jest autorem „Dziennika”, tekst mu się spodobał. Pisarz Marek Nowakowski poinformował go i dostałem propozycję, by pisać do paryskiej „Kultury”. Odpowiedziałem, że nie mogę osierocić swego pisma, więc proponuję druk równoległy w podziemiu i w Paryżu. Redaktor zgodził się, heroicznie, był bowiem bardzo czuły na wyłączość, zrywał gwałtownie z autorami, bez względu na ich nazwisko. (...)



Z żoną Ewą oraz Antosiem i Franiem w domu w Międzyzlesiu, 2011 r.

Nie wiedziałem jednak, że tak to zmieni moje życie, i że w jakiś sposób będę potem żył poprzez mój felieton, który był i jest bliski dziennikowi. A Marek Nowakowski musiał potem żałować swego pośrednictwa, stał się prawicowo-narodowy, a po latach stał się pisowski i nie znosił moich liberalnych i obrazoburczych tekstów w „Kulturze”. Redaktor za to lubił moje felietony. (...).

Gdy w roku 1990 Redaktor dowiedział się, że jadę do Sztokholmu na kilka lat, by zostać tam dyrektorem Instytutu Polskiego i attaché kulturalnym, pogodził się z utratą autora, jak przystało na męża stanu, który staje wobec nieuchronności wydarzeń. Praktyczny jak zwykle, powiedział: „Będę za to miał swojego człowieka w Sztokholmie”. Tak dla mnie, jak i dla niego było oczywiste, że nie będę mógł już pisać takich tekstów, jakie słałem mu z kraju, z co najmniej dwóch powodów: braku Polski pod ręką oraz przyczyn, powiedzmy, natury dyplomatycznej. Obaj nie mieliśmy racji. Okazało się, że jestem

uzależniony od pisania materiału, który de facto zawsze był skrzyżowaniem felietonu, dziennika i eseju. Zawiadomiłem Giedroycia, że chociaż koniec z Charłampem, to napiszę, jakby na pożegnanie, podobny tekst zatytułowany „Z ukosa”, zmieniając pseudonim na Smecz, pogłos moich pasji tenisowych. Ale po przyjeździe

rzeczywistości. Oby to się nie odbiło na Smeczu”. Tu widać, jak Giedroyc cenił dystans wobec kraju i niezależność, jaką daje izolacja.

W każdym razie pisałem „Z ukosa” do śmierci Giedroycia i „Kultury”, odeszła razem z nim w roku 2000. Wysyłałem swój tekst systematycznie co miesiąc, niezwykle

Okropnie jestem sfelietonizowany. Aby dać radę, musiałem jakoś dostosować życie do tej formy.

do Sztokholmu napisałem kolejny – i tak poszło...! Felietony były nadal o Polsce, udawałem, że autor w niej mieszka. Część czytelników „Kultury” za granicą, a i w Polsce, gdzie została zalegalizowana, uwierzyła, że to jest inny autor, który przejął styl pisanie od Charłampa. Ciekawe, że gdy po czterech latach podjąłem decyzję, że wracam do Warszawy, Redaktor napisał mi: „Bardzo się boję, by Pan nie utonął w tym polskim śmietniku, tracąc dystans do polskiej

piłnie, niemal maniacko. Bo była to też autoterapia. Dlatego gdy „Kultura” znikła, poczułem pustkę i zrozumiałem swoje uzależnienie. Wtedy otworzyła dla mnie swoje łamy „Rzeczpospolita”. Ale przecież istotną transformację przeszedłem wcześniej, właśnie w czasach „Kultury”, gdy „Rzeczpospolitą” przejęli „barbarzyńcy”, przeniósłem się już ze swoim nazwiskiem do „Newsweeka”, był bodaj rok 2007. Po latach, gdy nie chciano mnie i tam, ▶

► przeszedłem do „Wprost”, lecz szybko zmienił się naczelny i tak stałem się felietonistą „Przeglądu”, gdzie piszę do dzisiaj.

No i równolegle pisałem felietony do „Twojego Stylu”, potem do „Zwierciadła”. Okropnie jestem sfelietonizowany. Aby dać radę, musiałem jakoś dostosować życie do tej formy. Z książek nie da się żyć, z felietonu od biedy.

Moje teksty do „Kultury” miały nawet 30 tys. znaków, gdy zaczynałem nie liczone ich jeszcze w znakach, a w stronach, i oczywiście do roku 1989 pisałem na maszynie. W „Rzeczpospolitej” felieton skrócił się do 20 tys. znaków. W „Newsweeku” musiał mieć zaledwie 5 tys., podobnie we „Wprost”. W „Przeglądzie” 4600. „Zwierciadło”, gdzie też zamieszczam felieton, daje mi miejsce na 3900 znaków. Systematyczne kurczenie się długości tekstu to też znak naszych czasów. Wszystko ma być krócej, szybciej i w miarę możliwości prościej. (...)

Jarosław Kaczyński

Cyniczny ideolog. Wymyśla scenariusze, w które potem zaczyna wierzyć. Powinien być sądzony za zdradę. Zniszczył moralnie Polskę na dziesięciolecie. Kulturalny. Ale ta kultura podszyta jest obłudą władzy, władzy za wszelką cenę. Właściwie teraz już nie jestem pewien, czy nie popadł w obłąd. Oszalał z nienawiści. Wiele lat temu przedstawił mnie mu Tomek Wołek, był poruszony, że jestem synem poety. A może to był jego brat, już nie jestem pewien. Z kolei to na pewno Lech Kaczyński wręczał mi w Pałacu Namiestnikowskim jakieś odznaczenie, dureń jestem, że przyjąłem, kojarzył mnie od jak najgorszej strony, pomstował na mnie w jakimś wywiadzie, więc wręczając mi ten order, coś tam mamrotał pod nosem. Jarosław jest jednym z przykładów na rolę jednostki w historii – jak wysoko można grać na ludzkiej niskiej strunie. Do końca wycisnął z Polaków wszystko, co najgorsze.

Tadeusz Różewicz

Coraz bardziej go cenię i lubię jako poetę, chociaż on serdecznie



Tomasz Jastrun z ojcem.

mnie nie lubił, więc wymaga to pewnego wysiłku.

Po stanie wojennym w paryskiej „Kulturze” ostro skrytykowałem Różewicza za konformizm polityczny w tym szczególnym czasie. Do końca życia mi tego nie wybaczył. A przyjaźnił się z moimi rodzicami. Z mamą nie mniej niż z ojcem. Została ogromna jego korespondencja z rodzicami. Zawsze mam wrażenie, że spoglądał na mnie z niechęcią, nie lubił dzieci swoich przyjaciół, w jakimś wierszu pisał, że patrzą na niego spode łba. (...)

Bardzo mi jest bliska oszczędność wiersza Różewicza, ale kiedy kształtowałem się jako poeta, prawie nie znałem jego poezji, pewnie też dlatego, że był znajomym rodziców. Pod koniec mojej kadencji w sztokholmskim Instytucie Polskim zadzwoniłem, proponując mu przyjazd. Odparł oschle: „Dlaczego tak późno, nie przyjadę”. Przyjechał za to prędko na zaproszenie mojego następcy. Ale i tak nie dostał Nagrody Nobla, co musiało być dla niego potężnym ciosem. Różewicz, podłego wzrostu, okrągły, przyjął życiową taktykę złamanego skrzydła: jestem mały, nijaki, przygłupi. Za tą rolą kryła się ogromna ambicja i zapiekłe urazy. Miłosz miał odmienną taktykę, puszył się i powiększał. Tak, by przeżyć życie, trzeba mieć wobec

niego jakąś taktykę. A jednak świetnie się dogadywali, o czym świadczy ich korespondencja, upubliczniona niedawno.

Wzajemna korespondencja Różewicz – Miłosz to kilkadziesiąt lat pisanego, zaczyna się w 1947 r., raz jest gęsta, bywa też rzadka, ale trwa do śmierci Miłosza w 2004 r. Ciekawe, że Różewicz pisał wszystkie teksty, też dramaty, tylko ręcznie, nie potrafił nawet pisać na maszynie. Listy mówią, że to była przyjaźń, ale taka na odległość. Widzieli się bodaj tylko trzy razy, a obaj dożyli sędziwego wieku. I obaj piszą, że ich związek to była nawet jakaś forma miłości. Zabawne więc, że używali do końca w listach formy „pan”. To trochę tak, jakby pójść z kimś do łóżka, bez przechodzenia na „ty”. (...)

Seks

Lubię, ale jestem tu mało oryginalny. Mimo wysiłków konserwatystów, oddzielenie seksu od prokreacji odbyło się w naszej cywilizacji na naszych oczach. Zdumiewające, co kultura powyrabiała z seksem. Kiedy odkryłem, że wszystkie dostępne moim ograniczeniom tematy mam już zajęte, przecież pisałem o architekturze do „Architektury”, o książkach do „Ex Librisu” i „Polityki”, o polityce i obyczajach do „Kultury” w Paryżu, została mi tylko

jedna dziedzina, na której się trochę znam – seks. W „Elle”, gdzie krótko pracowałem, zorganizowałem konkurs na opis kobiecego orgazmu. Przysłało wiele prac ukazujących, jak to jest skomplikowane i trudne do opisu zjawisko, jak banalny przy kobiecym jest męski orgazm. Potem zaproponowałem felieton o seksie „Twojemu Stylowi”. I przyjął się, pisałem go przez wiele lat, jakimś cudem ten temat wydawał się daleki od wyczerpania. Raz zadzwoniła do mnie nawet Michalina Wisłocka, z dobrym słowem.

Portal Wirtualna Polska zaproponował mi pisanie krótkich opowiadań o tej tematyce. Dziewczynie, która na to wpadła, będę zawsze wdzięczny – odkryłem ze zdumieniem, że potrafię pisać prozę. Na bazie tych tekstów opublikowałem tom „Gorący lód”, zbiór opowiadań o tematyce erotycznej, jedyną książkę, na której zarobiłem przyzwoite pieniądze. Została nawet przetłumaczona na wietnamski. Ale sukces w tej dziedzinie, w końcu czytało mnie w „Twoim Stylu” setki tysięcy kobiet, ujawnił po czasie swoją ciemną stronę: zostałem wyklęty w pisarskim środowisku. Faceci byli zazdrośni, a feministki uważały, że prezentuję męski szowinizm. A „Twój Styl” i „Zwierciadło”, gdzie byłem potem przez lata na etacie (pisałem felieton „Czułym okiem”, teraz „Do poduszki”, o książkach), to pisma komercyjne, więc sprzedałem się komercji. Ciągnie się to za mną jak żałobny tren i szkodzi mojemu pisarskiemu wizerunkowi. Ale nie żałuję tej przygody.

Wisława Szymborska

Była blisko z moimi rodzicami, odziedziczyłem ją po nich, podobnie jak Adolfa Rudnickiego. Z dzieciństwa pamiętam kartki, które przychodziły do naszego domu. Na formacie pocztówki powycinane ze starych pism fotografie, napisy, tytuły, fragmenty tekstów nawet w obcych językach, dowcipnie pozostawiane. Takie kolaże, czasami małe dzieła sztuki. Wielce mnie to ekscytowało: „Czy ta pani nie jest trochę dziecinna?”, zastanawiałem się poważnie, chociaż sam wtedy byłem dzieckiem. Nie mogłem wiedzieć, że po latach będę

dostawał takie kartki od poetki, mam ich teraz ponad 30. (...)

Naprawdę zbliżyłem się do Szymborskiej w roku 1994, gdy przyjechała do Sztokholmu. Namówił ją na tę podróż jej tłumacz Anders Bodegård. Co nie było łatwe, nie znosiła podróży. Rola kierowcy Szymborskiej bardzo mi odpowiadała, mogłem z serdecznym rozbawieniem obserwować, jak jej niezwykle delikatna prywatność jest szarpana przez publiczne obowiązki. Odwiedziła Akademię Szwedzką, choć jakże opornie, Akademię, która potem przyzna jej nagrodę.

W Sztokholmie Szymborska miała kilka bardzo udanych, ale dokuczliwych spotkań publicznych. Zawsze cierpiała w czasie takich wystąpień. (...) Zorganizowałem Wisławie spotkanie w Instytucie Polskim, bardzo tłumne. Szymborska zapytana, czym jest jej poezja, spojrzała na mnie okiem pełnym cierpienia. Podsunąłem jej aforyzm Tuwima: „Znam się na poezji tyle, co ptak na ornitologii”. (...) W Szwecji byliśmy nawet w Uppsali, spotkanie na sławistyce. Po tej krótkiej podróży w jednym z wierszy

Gdy dowiedziałem się, że Wisława otrzymała Nagrodę Nobla, roześmiałem się serdecznie, wyobraziłem sobie jej popłoch.

zamknęła miasto w dwóch wersach, najkrócej jak można i najtrafniej: „Biedna Uppsala z odrobiną wielkiej katedry”.

Szymborska w czasach stalinowskich jak niemal wszyscy pisarze uwierzyła w komunizm. Napisała wiersz o Stalinie. Zawistnicy teraz jej to wypominają. Mówiła: „Wiersz o Stalinie napisałam ze szczerego serca, tego się nie da dziś zrozumieć”. Szymborska, inaczej niż wielu naszych słynnych pisarzy, którzy wtedy niemal w komplecie podpisali „pakt z diabłem”, potrafi o tym, co się stało, szczerze mówić, nie wykręca się, nie wybiela: „Ja wtedy uważałam, że komunizm to zbawienie dla Polski i ludzkości. (...) Ale dzięki temu dziś rozumiem pewne stany uczuciowe, wiem, co to znaczy wierzyć w coś tak mocno, że jest się ślepym na argumenty i fakty”.

Gdy dowiedziałem się, że Wisława otrzymała Nagrodę Nobla, roześmiałem się serdecznie, wyobraziłem sobie jej popłoch, odpowiedni do gigantycznej skali tego wydarzenia. Tego dnia Szymborska odpoczywała w Zakopanem, w domu pisarza Astoria, w którym zachował się zapach przedwojennego sanatorium, nieświadoma, jaka burza zbiera się za jej plecami, nie burza, to będzie tajfun! Mogłem sobie dokładnie wyobrazić scenerię dramatu, bo w tym domu spędziłem kawałek swego dzieciństwa. Mój znajomy Michał Bron, polskiego pochodzenia pracownik Akademii Szwedzkiej, zadzwonił do Astorii z wiadomością. I oto Szymborska w ciągu kilku sekund dostała się w smugę potężnego reflektora, zaskoczona, bez odpowiednich ubrań, nigdy nie dbała o stroje, osaczona przez tabuny dziennikarzy i fotoreporterów z całego świata. Laureatka powiedziała Bronowi przez telefon, że nie wie, co ma robić w tej strasznej sytuacji: „Nawet w Tatry uciec nie mogę, bo jest zimno i pada deszcz”. A to był dopiero początek „nagonki”.

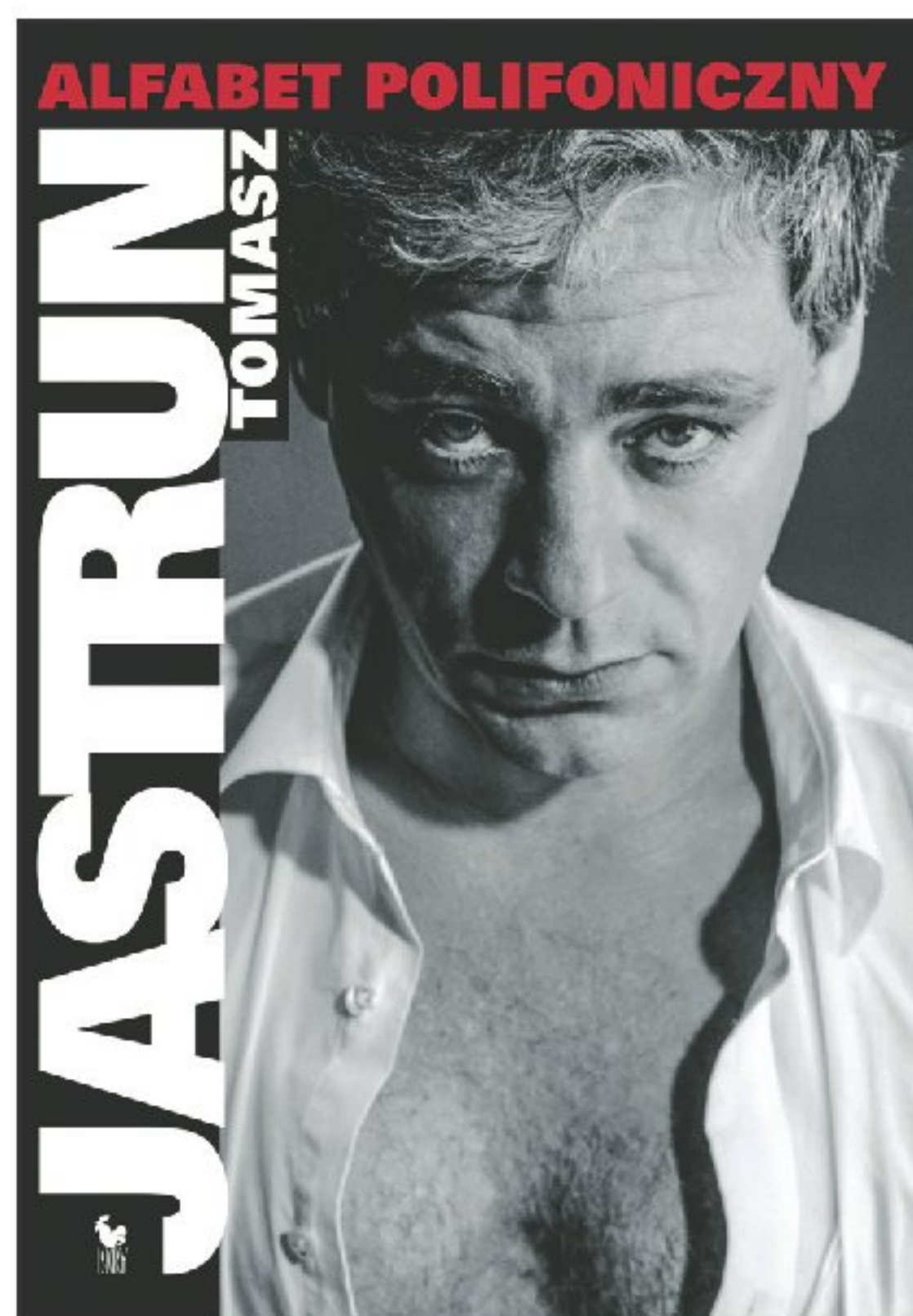
Po śmierci poetki, dzięki publikacji jej listów do różnych osób, dowiedzieliśmy się trochę o jej życiu prywatnym. Mówiła: „Uświadomiłam sobie, że ta cała moja historia pozbawiona jest dramatyzmu. Tak jakbym prowadziła życie motylka, jakby życie tylko głaskało mnie po głowie. To jest mój portret zewnętrzny. Ale skąd taki obraz? Czy ja na prawdę taka jestem? Życie miałam właściwie szczęśliwe, jednak było w nim wiele śmierci, wiele zwątpień. Ale oczywiście, ja o sprawach osobistych mówić nie chcę, a też nie lubiłabym, żeby mówili inni”. (...)

Szymborska uwielbiała loteryjki urządzone dla znajomych. Kiedyś zostałem zaproszony do jej małego mieszkania w Krakowie, potem będzie miała większe, był Staszek Barańczak, Karl Dedecius, wybitny tłumacz na język niemiecki, poeta

► Ryszard Krynicki, krytyk Teresa Wałas, przyjaciółka Wisławy. Nagle okazało się, że mamy wziąć udział w loteryjce i że będziemy losować różne różności przygotowane przez gospodynię. Pamiętam, że Barańczak wygrał skarpetki, a ja tylko miniaturowy wiklinowy koszyczek. Nie wiem, jaką miałem minę, pewnie smutną, i nigdy nie zapomnę zmartwienia Szymborskiej: „Jest ci przykro, że wygrałeś tylko taki koszyczek?”. Była ogromnie zatroskana. Ten koszyczek do dzisiaj służy mi jako schowek na temperówkę do ołówków, która mieści się w nim akurat. Po kilku miesiącach miałem wrażenie, że Szymborska nadal martwi się, iż wylosowałem tylko koszyczek, więc napisałem w liście, że koszyczek rozwiązał wielki problem mojego życia, zawsze szukałem po całym mieszkaniu temperówki, co kosztowało mnie masę nerwów, a teraz zawsze wiem, gdzie ona jest.

Gdy spotkałem ją w Warszawie już po Noblu, mówiła: „Nie wyobrażasz sobie, co ja przeżyłam, ale to się już chyba kończy, to szaleństwo, bo przecież nie może tak trwać”. (...)

Pamiętam, jak w Warszawie Szymborska brała udział w spotkaniu z Czesławem Miłoszem – oto dwoje naszych noblistów miało toczyć wielki dialog w złotej sali królewskiego zamku. Bardzo to było osobliwe spotkanie z różnych powodów, najpierw chcieli ich



minutach takiego dialogu zdecydowała się laska Miłosza oparta o stolik i upadła, kończąc dramatycznym stukiem ten „wiersz”. (...)

Wiesław Uchański

Prosił mnie, abym usunął to hasło, twierdził, że nie wypada, abym przychylnie pisał o swoim wydawcy. Ludzie pomyślą, że chciał się wprosić do dobrego towarzystwa. Ta prośba, kategoryczna, mówi coś o Wiesku. Nie jest próżny. Wielekroć się o tym przekonywałem. A to rzadka cecha w ogóle, a szczególnie w środowisku ludzi związanych ze sztuką. Uparłem się, że hasła nie usunę.

Bardzo cenię żywą inteligencję Wieśka Uchańskiego, poczucie humoru i nasze rozmowy. Chwytały swoje myśli w lot.

„zafleszować” fotoreporterzy, a chóry śpiewały po łacinie – patrzyłem, czy nasi nobliści się unoszą ku niebu, ale nadal stali, chociaż coraz mniej pewnie. Szymborska umierała ze wstydu, a Miłosz godnościowo się puszył. Potem laureaci nie mogli się zdecydować, kto ma usiąść po której stronie zabytkowego stolika. Z niemożności podjęcia decyzji powstał „wiersz” nie w stylu Miłosza, nie w tonie Szymborskiej, a w stylu Białoszewskiego: „To ja tu, a ty tam, nie ja tam, a ty tu...”. Po kilku

Uchański objął wydawnictwo Iskry w 1987 r. Sprywatyzował je i od tego czasu jest panem na Iskrach. Wysoki, przystojny, uparcie szczupły i zawsze dobrze ubrany. W jakimś sensie godny zazdrości, ale ma swoje słabości i demony, o czym wiem, bo rozmawiam z nim zawsze szczerze, tak szczerze, że aż czasami bolą od tego zęby. Jego wydawnictwo to też salon towarzyski. Przyjmował ludzi, gdy był panem na Smolnej, w dawnym mieszkaniu Boya. Gdy stracił to lokum, uzyskał wielki salon

pełen obrazów, które zbiera, przy Placu Zbawiciela. Lubię u niego bywać, chociaż wiem, że jestem tylko małą częścią jego kolekcji ludzi, pocieszam się, że być może stoję na dobrej półce, ale wcale nie jestem tego pewien. Bardzo cenię jego żywą inteligencję, poczucie humoru i nasze rozmowy. Chwytały swoje myśli w lot. Uchański pracował kiedyś w Komitecie Centralnym i przebywał w Domu Partii tej grudniowej nocy, gdy ja krążyłem po Warszawie, budząc ludzi.

Wiesiek jest chyba trochę konformistą, potrafi się kolegować z ludźmi, którym bym nie podał ręki. Ale może taki musi być dobry wydawca? A może to też jakaś forma mądrości, patrzeć na życie jak na grę na szachownicy, na której przemieszczają się ludzie – figury i pionki? Po latach konformizm zaczyna zwykle górować nad wielkimi zapałami buntowników, bo co było gorące, szybko stygnie. Ale Wiesiek ma wiele empatii i czasami pomaga ludziom w biedzie. Różni nas też stosunek do pogrzebów, on chyba bardzo je lubi, bo niezwykle często na nie chodzi. Mówi, że to poczucie obowiązku. Ja czuję się w obowiązku nie chodzić na pogrzeby, chyba że muszę. A nawet jak muszę, to czasami nie chodzę. To nie jest lęk przed śmiercią. Pogrzeby przynębiają, tyle było życia, a teraz takie nic. A ja i tak zwykle jestem przynębiony, więc nie mam siły jeszcze się pognębiać pogrzebami.

Wiesiek wydał mi bardzo pięknie cztery tomy poezji w czasach, gdy nikt nie chce wydawać poezji, jestem mu za to wdzięczny. Po tych czterech już nie chciał mi ich wydawać, bo wprawdzie moje wiersze się sprzedawały, ale za wolno. Mimo całej serdeczności Wiesiek, gdy przechodzi się do interesów, nagle przeistacza się i jego czułe spojrzenie zmienia się w zimne oko rekina. Pewnie dlatego jego wydawnictwo utrzymuje się na powierzchni, chociaż nie ma promocji innej niż znajomości pana na Iskrach.

Fragменты książki Tomasza Jastruna
Alfabet polifoniczny, Wydawnictwo Iskry,
Warszawa 2024